

Zuzelska tańcomania, gorący grudzień 1905 r.,
sterdyńska oświata, proboszcz z Miedznej bojkotuje imieniny marszałka

Wstępem, przypisami i ilustracjami opatrzył Jerzy Madzela.

Ilustracja wyróżniająca opracowanie:

Napad Organizacji Bojowej PPS na kasę powiatową w Wysokiem Mazowieckiem,
w grudniu 1905 r. Rycina z brytyjskiej prasy.

Źródło: *See page for author, Public domain, via Wikimedia Commons.*

Nie Zuzela, lecz Babilon będą wkrótce o tej miejscowości mówić. Sromota się szerzy, a tamtejsza młodzież prawie co noc tańczy do białego rana. Z tym tańcowaniem to jeszcze pół biedy, a gorzej, że sił im na drugi dzień do roboty brakuje, bo tracą swą energię nie tylko w demonicznych płasach, ale i w bijatykach, które wybuchają co rusz i z byle powodu.

Grudzień roku 1905 obfitował w wydarzenia rewolucyjne. Początkowo redakcja zamierzała zamieścić tylko notkę o strzelaninie na stacji kolejowej w Małkini. Krwawa ta wymiana ognia była jednak powiązana z napadem, do którego doszło raptem kilka godzin wcześniej w Wysokiem Mazowieckiem, gdzie z kasy powiatowej skradziono gigantyczną kwotę prawie pół miliona rubli. Pieniądze były przeznaczone przez Rosjan na budowę fortyfikacji w Zambrowie. Liczni uczestnicy tej akcji uciekali właśnie przez Małkinię. W tym momencie wypada wspomnieć, że przecież pan Wokulski, bohater powieści *Lalka*, zapłacił za wielką warszawską kamienicę 90 tys. rubli, a że z powodu miłosnego zawrotu głowy mocno przepłacił, to zdobyta fortuna mogłaby wystarczyć na przynajmniej siedem takich kamienic (hrabina Krzeszowska wyceniała przecież tę kamienicę na nie więcej niż 60 tys. rubli).

Akcja w Wysokiem Mazowieckiem była dziełem Organizacji Bojowej Polskiej Partii Socjalistycznej, a szefem jej Wydziału Bojowego był nie kto inny tylko przyszły marszałek Józef Piłsudski. Grupą, która wykonała akcję w Wysokiem Mazowieckiem, dowodził Ludwik Śledziński. W akcji udział wzięło dwóch mieszkańców tej miejscowości – Stanisław Dworakowski i Antoni Kulesza. Nie mogąc ich dostać w swe ręce, policja aresztowała członków rodzin. Inny, pochodzący z Wysokiego członek Organizacji Bojowej PPS Teofil Sokolik, dowiedziawszy się od miejscowego żandarma o planowanym aresztowaniu, zbiegł do Mandżurii, gdzie skorzystał z pomocy pochodzącego z okolic Czyżewa, Stanisława Wróblewskiego. Sokolik zmarł w 1922 r., w mandżurskiej miejscowości Buchedu¹.

Nie wszyscy uczestnicy akcji rozliczyli się z zabranych pieniędzy. Do centralnej kasy partyjnej wpłynęło 397 tys. rubli. Towarzysz Kruk zbiegł z 50 tys. rubli do Ameryki Południowej, a towarzysz Judycki obdarował pieniędzmi brata, rodziców, trzem siostram dał po 3 tys. rubli posagu, sobie zaś pozostawił 5 tys. Jeszcze kilku uczestników akcji przeznaczyło część wywalczonych rubli na własne potrzeby².

¹ Józef Maroszek, *Dzieje powiatu Wysokie Mazowieckie 1866-2006*, Białystok 2008, s. 135-136.

² Ludwik Śledziński, *Wspomnienia : akcja bojowa P.P.S. w Lubartowie i Wysokiem Mazowieckiem*, Warszawa 1925, s. 46-47.

Dr Adam Jarosiński snuje opowieść o sterdyńskiej oświacie w ostatnich dekadach carskiego panowania. Marna i niełatwa była ówczesna edukacja, skoro tuż po odzyskaniu niepodległości prawie $\frac{2}{3}$ mieszkańców gminy Sterdyń stanowili analfabeci.

Pomiędzy obozem sanacyjnym a kościołem katolickim panowała w naszym regionie szorstka przyjaźń. Na naszych łamach dawaliśmy już na to przykłady z prawego brzegu Buga, ale i na lewym było podobnie.

Otrzymaliśmy list od pana Albina. Czytelnik porusza kwestię, z którą styczność miało ostatnio kilku członków naszej redakcji. Pan Albin, człek w wieku słusznym, otrzymał mianowicie, prawie że jednocześnie dwa zaproszenia na spotkania absolwentów szkół, które z powodzeniem ukończył. Jedno pochodziło od jego Alma Mater podstawowej, drugie zaś średniej.

Okazuje się, że podobne zaproszenia otrzymała jakiś czas temu także dwójka redaktorów, a konkretnie Beata i Zenek. Wydaje się zatem, że jest to akcja zakrojona na szerszą skalę, a zarazem ograniczona do osób zbliżonych do wieku emerytalnego lub tych, które wiek ten już przekroczyły. To oczywiście racjonalne ze względów logistycznych, bo jeszcze jakieś dwie dekady wcześniej należałoby dla zebrania wychowanków danego rocznika wynająć salę, o sporym areale, a obecnie wystarczy połączyć dwa czy trzy restauracyjne stoliki.

Pan Albin ma wątpliwości co do sensu wyprawy na podobne spotkanie. Przejrzał swoje książki adresowo-telefoniczne, tę prowadzoną w trybie analogowym oraz tę w telefonie i okazuje się, że nie ma tam nikogo z jego szkolnych kolegów i koleżanek. Jednak mniej więcej dwa lata wcześniej, odnalazł jakimś cudem pana Albina jego szkolny kolega. Niegdyś był to facet wesoły, sympatyczny, ale podczas rozmowy telefonicznej sprawiał wrażenie człowieka wraku. Zwierzał się, że opuściła go żona, by związać się z niejaką Marysią. Rozmowa była tak przygnębiająca, że pan Albin stracił chęć do życia, palenia, picia, chudnięcia oraz tycia i przez kilka wieczorów oglądał wyłącznie telewizyjne seriale. Wyczuwając nastrój pana Albina, w depresję popadł także King, pies tegoż pana, co redakcję martwi szczególnie, gdyż czytelnicy dobrze wiedzą, że dobro zwierząt leży nam szczególnie na sercu.

Po omawianym spotkaniu spodziewa się zatem pan Albin wszystkiego najgorszego. Może to być bowiem rodzaj mityngu antyterapeutycznego. Większość uczestników będzie obnażać swe życiowe klęski i wylewać żale, choć znajdzie się rzecz jasna i grupka takich, którzy odnieśli w życiu czasami sukces rzeczywisty, a częściej mniemany i głośić będą swą chwałą, doprowadzając pechowców na skraj rozpacz, a jak wykazują statystyki nawet samobójstwa.

Przypuszczenia pana Albina potwierdza redaktor Zenek. Wybrał się ostatnio do swego miasteczka, gdzie spotkał się z trojgiem szkolnych przyjaciół. Danką, w której przed wiekami się podkochiwał i zapamiętał jako piękną, miłą dziewczyną, roztyła się niemożebnie i nie potrafi o niczym innym rozmawiać, jak tylko o wnukach. Nie lepiej było z dwoma kumplami, z którymi niegdyś potrafił całymi nocami grać w karty, śpiewać, pić na umór, a nawet robić rzeczy całkiem konstruktywne. Ileż to razy zapewniali sobie, że jeden za drugiego choćby w ogień i pozostaną przyjaciółmi po grobową deskę. Teraz redaktor Zenek nie mógł sobie przypomnieć, jak jeden z tych koleżków ma na imię. Rozmowa nijak się nie kleiła, bo ileż razy można powtarzać – Czy pamiętasz? – zwłaszcza że Zenek nic prawie nie pamiętał. Strach było poruszyć inne tematy niż wspomnienia, bo jeden zaraz zaczął godzinny monolog o swych trudnych do zliczenia chorobach, urozmaicając przemowę informacjami o cenach leków,

działaniu czegoś, co nazywał „holterem” i idącym w lata oczekiwaniu na wizytę u specjalistów. Drugi zaś upił się na smutno i z płaczem szeptał o swych trzech rozwodach, adwokatach krwio pijcach i wyrodnym dzieciach.

Co za szczęście, że mamy Naczelnego, bo ten wpadł na pomysł, aby sprawdzić, co o podobnych spotkaniach mówi sztuka... i to taka, pisana nie małym „g”, ale wielkim „S”. Niczym przez mgłę przypomniał sobie Nadredaktor, że o podobnym problemie traktował film *Wniebowzięci*. Dokonaliśmy zakupu owego filmu, polecając księgowej, aby wpisała koszt dzieła w rubryce „materiały szkoleniowe”.

Film traktuje o dwóch dżentelmenach, którzy wygrali sporą kwotę w grze losowej i postanowili przeznaczyć całą uzyskaną sumę nie na konsumpcję, lecz na samorozwój, rozumiany jako latanie po ojczyźnie w celach krajoznawczych i towarzyskich.

Dumając nad kolejną destynacją, jeden z nich (ten mniejszy) oświadczył koledze:

– Nawet się nie spodziewasz, jak się ubawimy. Złotko... zapamiętaj sobie, że wojsko wiąże ludzi na całe życie... poznasz Stefana.

No i polecili do Katowic, bo tam mieszkał ten kumpel z wojska o imieniu Stefan. Spotkanie przebiegło w formie kilkuminutowego dialogu, który można streścić następująco: Stefan ma syna „Nygusa”, żonę, teściową, córki Małgosię i Monikę, a dwójka podróżników lata po kraju. Koniec, *finito, the End, der Schluss* – tematy do rozmowy zostały wyczerpane.

Panie Albinie, obawiamy się, że nie możemy pomóc. Decyzję, czy w celu podobnego (choć nie wykluczamy, że może przybrać znacznie atrakcyjniejszą formę) spotkania, warto telepać się ze Szczecina do Sanoka albo z Turoszowa do Suwałk (niestety, nie podał Pan miejsc swego zakwaterowania i planowanego spotkania) pozostawiamy Panu. Opisane powyżej historie to niestety standard. Pomimo iż przyjaciele nie rozjeżdżają się zazwyczaj po antypodach, to kilkadziesiąt lat odmiennych doświadczeń sprawia, że ich drogi rozchodzą się całkowicie. Oczywiście, bywają pozytywne opinie o podobnych spotkaniach, lecz wydaje się, że osoby zdania takie wyrażające, po prostu wmawiają sobie, że koszty podróży np. z Gdańska do Cieszyna, a choćby tylko do Łochowa, nie poszły na marne.



[„Echa Płockie i Łomżyńskie, nr 93 z 20 listopada 1901 r.]

Z **Zuzeli** piszą do nas: „W okolicy naszej od pewnego czasu, rozpowszechnia się na dobre wśród młodzieży tańcomania. Dziewczęta i chłopcy zbierają się w niektórych domach, sprowadzają muzykę i pływają po całych nocach, powracając do domów dopiero nad ranem, wycieńczeni zupełnie.

Nie mielibyśmy nic przeciwko temu, gdyby podobne zabawy odbywały się rzadziej i przyzwoiciej były urządzone. Obecnie, prócz uszczerbku moralnego, nic innego nie dają. Widziałem często podobne zabawy, kończące się bójką.

[„Dziennik Powszechny”, nr 287 z 28 grudnia 1905 r.]

PROWINCJA

Wysokie Mazowieckie (gubernia łomżyńska). W nocy z dnia 26 na 27 grudnia dokonano w naszym mieście śmiałego napadu na kasę powiatową. Napastnicy działali bardzo energicznie i byli doskonale uzbrojeni. W czasie rabunku obstawili nie tylko gmach kasy, ale cały rynek i ktokolwiek się ukazał, strzelano w jego kierunku.

Mieszkańcy przerażeni, nie odważyli się wychodzić, a policja zbiegła. Nakazawszy woźnemu siedzieć cicho, rabusie wysadzili drzwi do skarbcza, porozbijali lewarami kasety z pieniędzmi i zabrali 486 tysięcy rubli, z czego 20 tysięcy w złocie, 100 tysięcy w monecie srebrnej, a reszta w papierach.

Po dokonaniu rabunku napastnicy w ogólnej liczbie około 80 osób rozdzielili się na pięć części i dokonali odwrotu w pięciu różnych kierunkach: do Warszawy, Białegostoku, Briańska [Brańska] (gub. grodzieńska), Sokołowa i Zambrowa. Wobec jednak pościgu zarządzonego w stronę Zambrowa napastnicy pozostawili tam na rynku konie z bryczką z 12.000 rubli, przy czym ranili 7 strzałami strażnika. Wszyscy rabusie umknęli.

Wojska w mieście nie było, gdyż stojącą w Wysokiem Mazowieckim rotę żołnierzy na dwa dni przedtem wysłano do Rygi, a inny oddział żołnierzy z Łomży przyszedł już po dokonanych fackie.

Według ogólnego mniemania napadu dokonały partie rewolucyjne.



26 marca 1905 r. doszło na Woli do zamachu na oberpolicmajstra płk. barona Karla Nolkena. Ten jednak odbił rzuconą bombę ręką, dzięki czemu przeżył. Jednym z zamachowców był bojownik OB PPS Aleksander Okrzeja. Został schwytany i skazany na śmierć przez powieszenie.
Źródło ilustracji: „Nowości Ilustrowane”, nr 14 z 1 kwietnia 1905 r.

[„Goniec Poranny”, nr 542 z 28 grudnia 1905 r.]

ROZBICIE KASY POWIATOWEJ Zrabowanie pół miliona rubli (Korespondencja własna Gońca)

Wysokie Mazowieckie, 27 grudnia.

W nocy z 26 na 27 grudnia wykonano u nas w W. Mazowieckiem w gub. łomżyńskiej napad na kasę powiatową i zrabowano ją doszczętnie.

O godzinie 1-ej w nocy zapukano do bramy gmachu, gdzie mieści się kasa, zawiadamiając stróża, że jest pilna depesza terminowa. Stróż otworzył i udał się do poborcy. W tym właśnie czasie weszli napastnicy w poważnej liczbie do lokalu kasy powiatowej i owładnęli nią całkowicie.

W czasie rabunku napastnicy obstawili mocno cały rynek, tak że prawie przy każdym domu stał człowiek uzbrojony. Nie pozwolono nikomu wychodzić z mieszkań, a na postrach dano przeszło sto strzałów w rozmaitych kierunkach, przy czym został ranny jeden Żyd.

Ktokolwiek ukazał się na jakiej bocznej uliczce, zaraz strzelano w jego kierunku. To też niebawem żywego ducha nie było na ulicy.

Policja zbiegła.

Naczelnik powiatu wyszedł na balkon, ale puszczo mu dwie rakiety, tak że oszołomiony ukrył się czym prędzej.

Woźny strzelił 2 razy, ostatecznie stracił głowę. Napastnicy wytrącili mu z ręki rewolwer, kazali siedzieć cicho, a sami wzięli się do roboty.

Według szczegółowych danych zabrano z kasy 486 tysięcy rubli (w złocie około 20 tys. rb., papierów tj. biletów kredytowych 300.000 i 160.000 srebra).

Pozostawiono w skarbcu 17.000 rb. w papierach procentowych i około 2000 rb. miedzią.

Napad dlatego stał się możliwy, że w niedzielę (d. 24 grudnia) zabrano stąd konsystującą [stacjonującą] rotę żołnierzy, aby ją wysłać do Rygi. Dziś tj. d. 27 grudnia po południu przybyła dopiero inna rota żołnierzy z Łomży.

Udział w napadzie wzięło, jak mówią w mieście, około 80 osób.

Odwrót został dokonany w 5-ciu partiach:

pierwsza – na Warszawę nocnym pociągiem (wykupiono 16 biletów),

druga – na Białystok (13 biletów),

trzecia – na Briańsk w gub. grodzieńskiej,

czwarta – na Sokoły,

piąta – na Zambrów, przy czym ta ostatnia partia pozostawiła konia i bryczkę na placu w Zambrowie z beczułką i 12 tysiącami rubli, gdyż zarządzony był w tę stronę pościg.

W Zambrowie uciekający napastnicy ranili śmiertelnie siedmioma strzałami strażnika, podejrzewając go zapewne o to, że ich śledzi.

Napastnicy urządzili całą rzecz planowo i musieli być obeznani nie tylko z miastem, ale i z planem pomieszczenia kasy powiatowej.

Drzwi do kasy zostały prawdopodobnie wysadzone pyroksyliną, gdyż wybuch nie zostawił prawie żadnych śladów. Kasety z pieniędzmi zostały rozbite za pomocą lewarów, co uprawnia do przypuszczenia, że działali ludzie fachowi.

Obrewidowano wszystkie szafy.

Telegraficznie nie można było się skomunikować z żadną miejscowością, ponieważ druty zostały przerwane we wszystkich kierunkach przed dokonaniem napadu i naprawione dopiero o godz. 10-iej, tj. wówczas, gdy napastnicy już dawno dojechali do miejsca swego przeznaczenia (do Warszawy pociąg idzie 2 i pół godziny).

W czasie odwrotu zgubiono w samym gmachu kasy u wyjścia dwie paczki – jedną z tysiącem rubli, drugą z 8-ma sturubłówkami. Oprócz tego napastnicy rozsypali po rynku sporą ilość drobnej monety srebrnej, którą było za ciężko i za niewygodnie zabrać z sobą. Nie chcieli zaś zostawiać jej w skarbcu. Rano pieniądze te, oczywiście, znalazły amatorów.

Wypadek powyższy zelektryzował, a zarazem sterroryzował ludność, która i dziś jeszcze obawia się wychodzić na ulicę.

Z zachowania się napastników jest widoczne, że napad był zorganizowany przez partie rewolucyjne. Napastnicy śpiewali różne pieśni rewolucyjne, krzyczeli: „Niech żyje rewolucja” itp.

(Wysokie Mazowieckie błędnie przez skrócenie zwane Mazowieck, jest osadą, a zarazem stolicą powiatu, leży nad rzeką Brokiem i ma około 4000 mieszkańców. Założone zostało w r. 1490 przez Kazimierza Jagiellończyka. Jest to starożytna osada w dawnej ziemi drohickiej.

Wysokie Mazowieckie jest odległe od stacji kolei petersburskiej Szepietowa o 6 wiorst, od Warszawy o 17-18 mil, od Zambrowa 20 wiorst, od Sokołów 18 w. i od Łomży 45 w. – przyp. red.)

[„Kurjer Warszawski”, nr 356 z 28 grudnia 1905 r.]

Małkinia, 28 grudnia (*T.K. W.*). Na stacji Małkinia kolei petersburskiej, dziś o północy przy aresztowaniu dwóch osób ulegli ciężkiemu poranieniu strażnicy policyjni: Karpesz w brzuch, biodro i dłoń oraz Hieronim dwiema kulami w ramię. Kiedy uciekających gonił żołnierz oddziału małkińskiego straży pogranicznej Gelcew, padł zabity od kuli rewolwerowej. Obydwu rannych, po udzieleniu im pomocy, odwieziono do szpitala Ujazdowskiego w Warszawie.



Ludwik Śledziński. Źródło: Ludwik Śledziński, *Jak to było* w latach 1905-1908, Warszawa 1931, strona tytułowa.

[„Kurjer Warszawski”, nr 359 z 31 grudnia 1905 r.]

Zaburzenia w Wyszkowie

Wyszków, 30-go grudnia (*T. K. W.*). Od wczoraj w osadzie tutejszej (powiat pułtowski, gubernia warszawska) wynikły zarówno wśród ludności, jak i robotników kolejowych silne zaburzenia. Popodcinano słupy telegraficzne i przerwano druty na odnodze nadnarwiańskiej, porozbijano sklepy i budynki rządowe, i prywatne w osadzie. Ponieważ w rozruchach uczestniczyli rekruci, uznano dwie przybyłe rotę za niewystarczające do uśmierzenia rozruchów i zażądano, przysłania z Warszawy więcej wojska. Ruch na kolei nadnarwiańskiej przerwany.

[„Dziennik Powszechny”, nr 288 z 30 grudnia 1905 r.]

Łomża, 29.XII. (P.). W pogoń za rabusiami, którzy dokonali napadu na kasę w Wysokiem Maz. wysłano szwadron dragonów.

WYDARZENIA W MAŁKINI WE WSPOMNIENIACH LUDWIKA ŚLEDZIŃSKIEGO

Ludwik Śledziński, *Wspomnienia : akcja bojowa P.P.S. w Lubartowie i Wysokiem Mazowieckiem*, Warszawa : Spółdzielnia Wydawniczo-Księgarska Nowe Życie, 1925, s. 46-47.

Nie dojeżdżając do stacji zsiadli z wozów i pod grozą śmierci nakazali swoim woźnicom, by po powrocie do domów powiedzieli, że panowie zsiadli na rozstajnych drogach i rozeszli się w różne strony.

Po dwóch, trzech zeszli się na stacji kolejowej i zasiedli w bufecie II klasy, oczekując pociągu do Warszawy. Siedzieli przy różnych stolikach, pili herbatę, kawę, piwo, jedli wędliny. Naraz otwierają się drzwi i wchodzi dwóch żandarmów ze stójkowym z rewolwerem w rękę, a przy drzwiach staje żołnierz z karabinem. Żandarmi i stójkowi celując z rewolwerów do grupy pasażerów, krzyknęli: ręce do góry!

Nasi towarzysze szybko się zorientowali, że tu idzie o ich życie i wolność, i jak na komendę zaczęli walić w żandarmów i żołnierza, który też przygotował karabin do ataku. Po upływie kilku minut leżały na podłodze trzy trupy, a żołnierz raniony i już bez karabinu z krzykiem uciekać począł na peron. Nasi towarzysze wszyscy bez szwanku, wycofali się z dworca w stronę lasu.

Tego samego dnia późno wszyscy już szczęśliwie przybyli do Warszawy, ale nie wszyscy piechotą, bo dwóch czy też trzech z podmiejskich stacji przyjechało do Warszawy pociągami na Pragę.

LISTY ZE STERDYNI

Rząd rosyjski w myśl swej zaborczej polityki dbał o to, by mieć po swej stronie lud polski i zdawało mu się, iż wystarczy, gdy temu ludowi jako tako zabezpieczy materialny dobrobyt, pomyśli, iż tak powiem, o jego mniej więcej pełnym korytku. Nie dbał natomiast o duchowe potrzeby, a nawet lękał się oświaty ludu, wiedział bowiem, iż z chwilą uświadomienia mas ludowych, skończy się jego panowanie w Polsce.

W tym celu nie popierał szkolnictwa, a o ile szkoła była, zabiegał, by ta szkoła spaczała ducha polskiego, była najpierwszą placówką rusyfikacyjną.

Na Podlasiu, skazanym na rychłe zruszczenie, system rusyfikacyjny prowadzony był z całym naciskiem.

Przed 30-tu laty we wszystkich naszych instytucjach rządowych, jak w gminie, poczcie, szkole i szpitalu widniały na ścianach napisy: „zabrania się mówić po polsku”.

Sterdyńska gmina na 12.000 ludności posiadała zaledwie dwie szkółki ludowe*, w których uczyło się około 100 dzieci. W Kossowskiej, Jabłońskiej i Sabniowskiej gminie było po jednej szkole. Olszewska gmina szkoły nie posiadała. Nauczycielami w szkole mogli być tylko Rosjanie, po polsku nie uczono, ksiądz katolicki wstępu do szkoły nie miał, natomiast pop prawosławny czasami szkołę nawiedzał. Około roku 1896 w odległym os Sterdyni o około 26 km Wirowie, uplacowały się mniszki prawosławne, które założyły różnego rodzaju szkoły i ochrony w celu propagowania prawosławia.

Ze szkół gminnych, a tym bardziej wirowskich korzystała bardzo nieznaczna liczba dzieci, a nauczanie poza szkołą było surowo wzbronione.

Istniało obok tego pięć ochronek dla dzieci folwarcznych*** do lat siedmiu, utrzymywanych kontem dominiów – dwie w Sterdyni, po jednej w Ceranowie, Kurowicach i Kossowie.

Ochronki te przemycaly wprowadzić naukę czytania i pisanie po polsku, i naukę religii, była to jednak kropla w morzu.

Lud łaknął nauki w polskim języku i uczył się od swych matek, które zazwyczaj same były półanalfabetki. Czasami wiejski dzieciaki przychodziły na naukę do panienek we dworze, a zwykle zakładano potajemne szkółki po wsiach, gdzie się zbierało po kilkoro dzieci i uczył je nauczyciel, jakiś wędrowny biedak, którego wieś na zimę przytuliła, dając mu za nauczanie skromny wikt, opierunek, buty i trochę grosza. A zdarzało się, iż taki nauczyciel latem pasał wiejskie bydło, a czytać potrafił niebożatko tylko na swojej własnej książce do nabożeństwa.

A jak należało strzec się strażnika! Dobrze, gdy Moskalina dał się przekupić rublem, inaczej spadały na gospodarza, w którego domu szkołę wykryto, ciężkie kary. Gdy więc we wsi zjawiał się strażnik, powstawał popłoch, momentalnie szła sztafeta, dzieciaki książki ukrywały i same się chowały po kątach. W tej jedynej sprawie istniała po wsiach jednomyślność, nigdy nie słyszałem, by kogoś denuncjowano o to, że posiadał w swym domu szkołę.

Oświata do ludu przenikała i z zewnątrz w postaci „Gazety Świątecznej” i „Polaka” (pismo, nielegalne wydawane w Krakowie), również za pośrednictwem prześladowanego przez rząd Koła Oświaty Ludowej, które to koło potajemnie kolportowało swoje wydawnictwa i tworzyło biblioteczki wiejskie.



Żeński kompleks klasztorny w Wirowie, na rosyjskiej pocztówce sprzed 1916 r.

Źródło: Prawosławne cerkwie na starych pocztówkach chram.com.pl.

Nazwiska Kazimierza Prószyńskiego (Promyka), Mieczysława Brzezińskiego i Adama Popławskiego – tych apostołów miłości i oświaty ludu naszego – przeszły już do historii. Również potomność nie zapomni i tych, z nazwiska nieznajomych, którzy za pracę około oświaty ludowej dostawali się do cytadeli, wysyłani byli na Sybir, tych matek nauczycielek – analfabetek, tych pastuszków – nauczycieli i wszystkich tych, którzy przyczyniali się do podtrzymania w ludzie naszym Ducha Polskiego, a których był legion.

I uczył się lud nasz, ale nauka ta szła tępo, analfabetów było aż 64%****.

Gdy wnuki nasze będą czytały dzieje tych ciężkich lat, gdy dziecku polskiemu nie było wolno uczyć się po polsku, to dziwić się będą, że takie czasy mogły kiedykolwiek istnieć, będą podziwiała lud nasz i naród cały, że wykazał tyle hartu, nie ugiął się i wytrwał.

I wszystko to pierzchło jak zmora, jak przykry sen!

Dziś już w jednej tylko sterdyńskiej gminie posiadamy aż 24 szkoły powszechne, a w niejednej z tych szkół mamy oddziały i po 2-3 siły nauczycielskie.

Ministerstwo Oświaty raźnie wzięło się do pracy i choć wiele jeszcze mamy braków w szkolnictwie, widzimy, jak szybko sprawa ta postępuje naprzód i ufamy, że czas stracony prędko powetujemy.

Dr A. Jarosiński

* W Sterdyni i Seroczyniu, trzecia w Ceranowie powstała około 1898 roku.

** Wirowowi w przyszłości poświęcę więcej miejsca.

*** Pierwszą ochronkę na Podlasiu w Sterdyni przeforsował śp. Ludwik Górski, właściciel Sterdyni.

**** Około 1904 r. przy współudziale okolicznej inteligencji przeprowadziłem w okolicy sterdyńskiej ankietę oświaty. Okazało się, że analfabetyzm wykazano w 64%.

[„Nowa Gazeta Podlaska”, nr 14 z 2 kwietnia 1933 r.]

Z POWIATU WĘGROWSKIEGO Z osady Miedzna

Uroczystość Imienin Marszałka Piłsudskiego przeszła tutaj w nastroju poważnym i serdecznym. Dnia 18 bm. urządzono capstrzyk przez miejscowy oddział Związku Strzeleckiego. Strzelcy zebrali się najpierw w świetlicy, w budynku Urzędu Gminnego, który był rzęsiście iluminowany (za co należy się uznanie ob. Zofii Kędziorkówny), po czym zdano raport ob. prezesowi Janowi Oltonowi. Następnie z pochodniami przy śpiewie pieśni narodowych, przemaszerowali strzelcy, przy licznym udziale ludności, przez miasteczko. W godzinach porannych odbyło się nabożeństwo w miejscowym kościele oraz pogadanki dla dzieci szkolnych.

W dn. 19 bm. staraniem Związku Strzeleckiego i Związku Młodzieży Wiejskiej urządzono akademię, na którą złożyły się: treściwe przemówienie ob. Mariana Żebrowskiego o wielkości marszałka Piłsudskiego, deklamacja okolicznościowego wiersza T. Brzozy przez ob. Z. Kozerskiego, dziarsko odegrana sztuka pt. „Jak kapral Szczapa wykiwał śmierć” pod kierunkiem ob. Henryka Dzikowskiego oraz odśpiewanie pieśni legionowych. Publiczności pełno. Przymaszerował również na uroczystość oddział Zw. Strzeleckiego z sąsiednich Jartypor, z komendantem ob. Adamem Goliszkiem.

Bojkot uroczystości imieninowych przeprowadziło, jak zwykle, miejscowe duchowieństwo, narażając się przez to na wrogie stanowisko ze strony znacznej części ludności. Ha, trudno! Czy ks. proboszcz zapomniał, jak w 1920 r. buńczucznie spacerował w ogrodzie, na plebanii komisarz bolszewicki, drwiąc sobie ze wszystkich świętości? Któż to przegnał tych drabów dla dobra kościoła? Czy to czasem nie Piłsudski? Trzeba pamiętać...

Tolimir Brzoza